

CO SŁYCHAĆ W LESIE?

O. LISOWSKA



O. LISOWSKA

CO SŁYCHAĆ W LESIE?

OPOWIADANIA
DLA DZIECI



WARSZAWA
NAKŁADEM AUTORKI
1933

T R E S Ć:

1. WILKI
2. ŻMIJE
3. L A S
4. SARNY

Polski Związek Łowców
BIBLIOTEKA
nr. 641

dis
Co

ZAKŁADY GRAFICZNE E. I D-RA K. KOZIAŃSKICH
W WARSZAWIE, KRAK. PRZEDM. 66

I.

W I L K I

POLSKI ZWIĄZEK LEWIC
BIBLIOTEKA
541



Wilczyca z małemi

Photo-Plat



Wilczęta

Agencja Photo-Plat



Włki

Fot. J. Labus



Ranna wilczyca

Photo-Pol

Wpuszczy oddawna gnieździły się wilki, lecz od czasu wielkiej wojny wyrządzały one tak znaczne szkody nawet najdalej położonym wsiom, że niepokój wśród mieszkańców wzmagal się coraz bardziej.

W Czyżycach narzekano, że wilki porwały cielę; w Kolbach, gdzie chowano dużo owiec, stałe ginęły najładniejsze barany; w Sokółce przepadały gęsi i prosięta, — tylko w Wólce nic jakoś dotychczas nie zginęło. Dziwili się temu wszyscy i w cichości ducha zazdrościli panu Wólczańskiemu, że umie czemś odstraszyć wilki od zagrody.

Tymczasem nadeszła jesień. Park i zagajnik w Wólce zabarwiły się złotem i czerwienią, uścielając ziemię suchymi liśćmi. Pola opustoszały doszczętnie. Musiał i pastuch wypędzić bydło dalej pod las.

Tu, chodząc po lesie, przypadkowo znalazł on gniazdo wilków pod nieobecność wilczycy. Czempredzej odpędził swoje bydło do domu i wpadł ze straszną nowiną do kuchni: „Wilki, wilki w naszym lesie!”

Okazało się więc, że wilki, czyniące rozboje w sąsiedztwie, mieszkają nie w puszczy, tylko w lesie Wólkowym, i teraz stało się jasne, dlaczego w swych napaściach tak starannie omijały Wólkę. Kiwano głowami w podziw nad sprytem wilków, a jednocześnie niepokój w Wólce zamienił się w strach.

Legowisko wilków było bardzo pomysłowo urządzone w krzaku niedużym, lecz tak gęstym, że człowiek z trudem dostałby się do środka. W tym krzaku wychowywała wilczyca pięcioro swoich dzieci. Urodziły się w kwietniu i przez 3 tygodnie były ślepe. Rosły dość szybko, gdyż wilczyca, podkarмлиwszy je mlekiem, nie żałowała dla nich pożywienia, które zносиła im obficie. A musiała nieraz użyć wiele sprytu, nim zdobyła coś bezpiecznie. O pożywienie było trudno w niedużym lesie. To też wilczyca wołała je dźwigać na swych plecach zdaleka, niż narazić się najbliższym mieszkańcom; a miała taką naturę, że prędzej sama nie zjadła, ale zawsze nakarmiła

swoje male. Wilczęta nigdy nie były głodne. Przynosiła im matka barany i świnie z sąsiednich wsi, czasem kawał padliny, czasem żywego zająca na zabawę. Oczywiście, taka zabawa kończyła się zawsze śmiercią biednego zajączka.

Dobrze było wilczętom, choć wychowywała je sama matka. Ojciec narazie wcale nie chciał znać swoich dzieci. Matka zato kochała je bardzo, otaczała troskliwą opieką, opuszczając tylko wówczas, gdy szła na polowanie.

O, prędzejby sama zginęła, niżby rozstała się z niemi! Jeżeli czasem uda się człowiekowi wykraść jej male, wilczyca potrafi być mściwą i rzuca się na pierwszego spotkanego człowieka, nie wypuszczając go z życiem.

W sierpniu wilczęta były już tak duże, że wybierały się z matką po zdobycz. Teraz matka zaprosiła i ojca, by pomógł jej w nauczaniu wilczego polowania. Zaczęły się więc gonitwy młodych ze starym wilkiem po całej okolicy. Lecz z ojczulkiem nie było tak miło polować, jak z matką. Matka oddawała wilczętom najlepsze kęski, sama pożywiwszy się byle czem. Stary zaś nie miał tego zwyczaju przy podziale zdobyczy z młodem, gdyż przedewszystkiem pamiętał o swym własnym żołądku. Czasem, gdy razem wystraszą zająca z legowiska, stary niby się leni: położy się i leży, a wilczęta uganiają się za zającem po całym lesie. Ucieka biedny szarak: kluczy swoim zwyczajem, kluczy, aż wróci na dawne miejsce. Ale tutaj ojculek nie przepuści go! Złapie i, nim młode zasapane wróca, — kończy już swój przysmak.

Wilki są z natury ogromnie żarłoczne i krwiożercze. Ich niepohamowane zamięrowanie do polowania, ich wiecznie nienasycony głód sprawia, że niszczą one znacznie więcej zwierzyny, niż tego wymaga zwykle ich zaspokojenie głodu.

To też gdy usłyszano, że w Wólkowym lesie są wilki, zeszli się różni znawcy łowiectwa do pana Wólczańskiego i zorganizowali polowanie. Lecz ani w krzaku, wykrytym przez pastucha, ani w całym lesie nie mogli znaleźć wilcząt.

Widocznie matka przeprowadziła je na inne, bezpieczniejsze miejsce i ukryła tak dobrze, że polowanie okazało się bezskuteczne. Postanowili więc tępić wilki każdy na swój sposób. Zastawiano sidła, ale nie złapano ani jednego wilka.

Stary Błażej z Kolek miał się za dobrego łowczego i na skraju lasu wykopał głęboki dół, założywszy go lekko gałęzmi. Następnego dnia przybiegają do niego chłopcy z krzykiem: „Błażeju, a dyć to w waszej jamie wilk siedział”

Porwał Błażej za kij i pędzi do jamy. Zdaleka widzi, że nad jego dołem stoją już owczarz z pastuchem i przygotowują sznury.

„Nie ruszajta go, dyć to mój!” — woła Błażej i już chce siłą odbijać swoją zdobycz, gdy tymczasem patrzy, a w dole siedzi baran. Odtąd złośliwi chłopcy przezwali Błażeja baranem, wyśmiewając jego lowy.

Wieśniacy z Czyżyc kładli padlinę, zatrutą strychniną. I cóż? znajdowano otrute psy zamiast wilków, które poznały się dobrze na owych przysmakach.

Pan Wólczański często wychodził z dubeltówką, ale nigdy nie spotkał wilków.

Tymczasem nadeszła niespodziewanie wczesna zima. Śnieg spadł obficie i głęboką warstwą przykrył pola i las.

Ludzie pozamykali bydło do ciepłych obór i na straży postawili psy. Poczuły więc nasze wilki głód. Padliny mało. Zająca wystraszyć nie trudno, ale bardzo trudno dopędzić go po głębokim śniegu. Szarak pędzi co tchu po powierzchni śniegu, podczas gdy wilk zapada się po sam brzuch. A tu nawet żaby i ropuchy są już pod śniegiem, więc wilki kompletnie nie mają czym zaspokoić głodu. Poniosła ich odwaga i porwały jadło psom.

„Trzeba bronić się przed wilkami,” — rzekł raz pewnego pan Wólczański do pana Sułkowskiego, gajowego z puszczy. Wybrali się więc obaj z dubeltówkami do lasu. Długo chodzili, lecz i tym razem nie zobaczyli wilków.

„Czyżby wilczyska wyprowadziły się z naszego lasu?” — pytał pan Wólczański.

„O, nie tak łatwo opuszczają one swoje miejsce zamieszkania. Długo namyślają się, nim zmieniają okolicę,” — powiedział pan Sulkowski: — „jest to zwierz z natury bojaźliwy, a nawet możnaby go zaliczyć do zwierząt najbardziej tchórzliwych. Tak, że w swoich napaściach na inne zwierzęta i ludzi są one bardzo ostrożne i wykazują wiele chytrłości. Niedarmo jest to najbliższy krewniak lisa. A radzą sobie, jak złodzieje wśród ludzi — skrycie i podstępnie. Dopiero głód wprawia je we wściekłość i dodaje odwagi.”

Nagle pan Sulkowski ujrzał na śniegu ślad... Niewątpliwie był to ślad wilczy!

Obaj myśliwi urwali rozmowę i w milczeniu poszli tym śladem. Śnieg był tak głęboki, że z trudem brnęli po nim. Szli dość długo, i udało im się przekonać naocznie o przezorności i ostrożności wilków: ni stąd ni zowąd z jednego śladu wilków rozeszło się odrazu aż siedem — każdy w inną stronę. Myśliwi wrócili do pierwotnego śladu i przekonali się, że był znacznie głębszy od następnych siedmiu. Okazało się więc, że aż siedem wilków szło jednym śladem, gdyż w ten sposób łatwiej brnąć po śniegu.

„Czują, że ich szukamy,” — przerwał ciszę pan Sulkowski: — „takie to bestje podejrzliwe i bojące się człowieka, że chcą przed nami ukryć swoją liczbę. Ale dla bezpieczeństwa rozdzielają się często. Widocznie nie są jeszcze bardzo głodne... Biega takie wilczysko prędko — potrafi zrobić do 75 kilometrów naraz. Jak się to mówi: starego wilka żaden chart nie dogoni. Kiedyś goniłem wilka konno, to mi koń padł w drodze, a wilk zemknął. Ale to stadko nie wymknie się nam tego roku! Zima ostra: coraz częściej poczują głód, to nie będą uciekały, lecz zaczną nas szukać! Wtedy muszą wpaść w nasze ręce.”

I rzeczywiście, wilki stawaly się coraz śmielsze. Znowu w jednej wsi, odległej o 25 kilometrów od Wólki, porwały aż

dwa psy. Innym razem rozkopały tuż pod wsią kopiec z kartoflami i zżarły je dla zaspokojenia głodu. Lecz czyż na długo mogło im to wystarczyć? Nakarmić aż siedem żarłoków — to nielada kłopot...

Wilczyca wije się z głodu pod krzakiem: straciła już wszelką cierpliwość. Dawno zapomniała, kiedy była syta. Dość już nazgrzytała zębami. A tu jeszcze taki mróz chodzi po kościach. Nie zaszkodzi raz czasem przegłodzić się, ale tak przez całą zimę cierpieć męczarnie głodu — nie, to już nie do zniesienia! Wściekła zerwała się wilczyca z pod krzaka, podniosła pysk do góry i zawyla przeciągle, nawołując, aż echo rozeszło się po lesie. Usłyszały to inne wilki, zrozumiały, że wilczyca zdecydowana na wszystko wzywa je do pomocy.

Zbiegły się posłuszne i poszły za nią.

Był akurat wielki styczniowy jarmark w miasteczku, więc gospodarze okolicznych wsi pojeżdżali się po zakupy. Ale niejeden z nich słyszał wycie wilków, więc wszyscy starali się jak najwcześniej wrócić do domów.

Jedna tylko Józefka z Wólki długo załatwiała zakupy w mieście: nabyła dużą patelnię, łyżki i inne naczynia kuchenne; nie spostrzegła wcale, że się ściemniło.

Wieczór był jasny, księżycowy, mróz nie dokuczał, więc Józefka przebyła prawie całą drogę szczęśliwie. Został tylko lasek Wólkowy.

Zaledwie weszła do lasu, biegnie za nią wilk, za nim drugi, trzeci, — całe stado, aż im ślepią świecą się zdaleka. Wiedziała Józefka, że wilki nie żartują i gotowe rozszarpać ją na kawałki. Wtem przypomniała sobie, że one boją się trąb i dzwonów, dlatego okoliczni gospodarze zawieszają dzwonki do dyszli. Czemp prędzej chwyciła za blaszaną łyżkę i nużę walić po patelni, aż zadźwięczało po cichym lesie.

I o dziwo! Wilki zawróciły i pomknęły w las... Uciekły wszystkie, a Józefka, ciągle dzwoniąc, jak na alarm, doszła bezpiecznie do domu. Gdy rozeszła się wiadomość, że wilki o

mało nie rozszarpały Józefki i że już śmiało wychodzą gromadą na drogę, przestrach ogarnął okolicę.

W Wólce przez całą noc drżeli wszyscy ze strachu, spodziewając się lada chwila napaści zgłodniałych wilków.

Następnego ranka posłano po pana Sulkowskiego.

„Już najwyższy czas na obławę,” — powiedział do niego pan Wólczański: „wilki stały się zuchwałe.”

Pan Sulkowski przygotował niezawodną wyprawę. Zwołał kilku chłopów ze strzelbami. Złapał do worka prosię. Najmocniejsze konie zaprzężono do szerokich sań, tak zwanych „rozwalin”, — wszystko to czekało przed gankiem na hasło pana Sulkowskiego.

Gdy zapadł gęsty zmierzch, myśliwi powiadali do sań, wzięwszy między siebie prosię w worku, i pojechali na to miejsce, gdzie wilki opadły Józefkę.

Księżyc wznosił się wysoko na niebie i oświecił białym od śniegu las.

Głodne wilczyska leżały obozem tuż przy drodze na śniegu. Przeraźliwie chude i smutne czekały na przejeżdżających.

Cicho wjeżdżają do lasu rozwaliny z myśliwymi. Nagle rozlega się wściekły kwik prosięcia. Nie podejrzewając podstępny, rzucają się wilki całym stadem na drogę...

Konie, zwietrywszy wilki, rwą, jak szalone. Lecz zrozpaczone z głodu zwierzęta nie patrzą na zwrócone na siebie strzelby i w mgnieniu oka znajdują się tuż przy saniach.

Myśliwi na to tylko czekali. Jeden gniecie prosię, które krzyczy na całe gardło, jakby go ze skóry darli. A z luf pada ogniste: pał! pał! — pał! pał! i sześć wilków potoczyło się po śniegu, brocząc krwią...

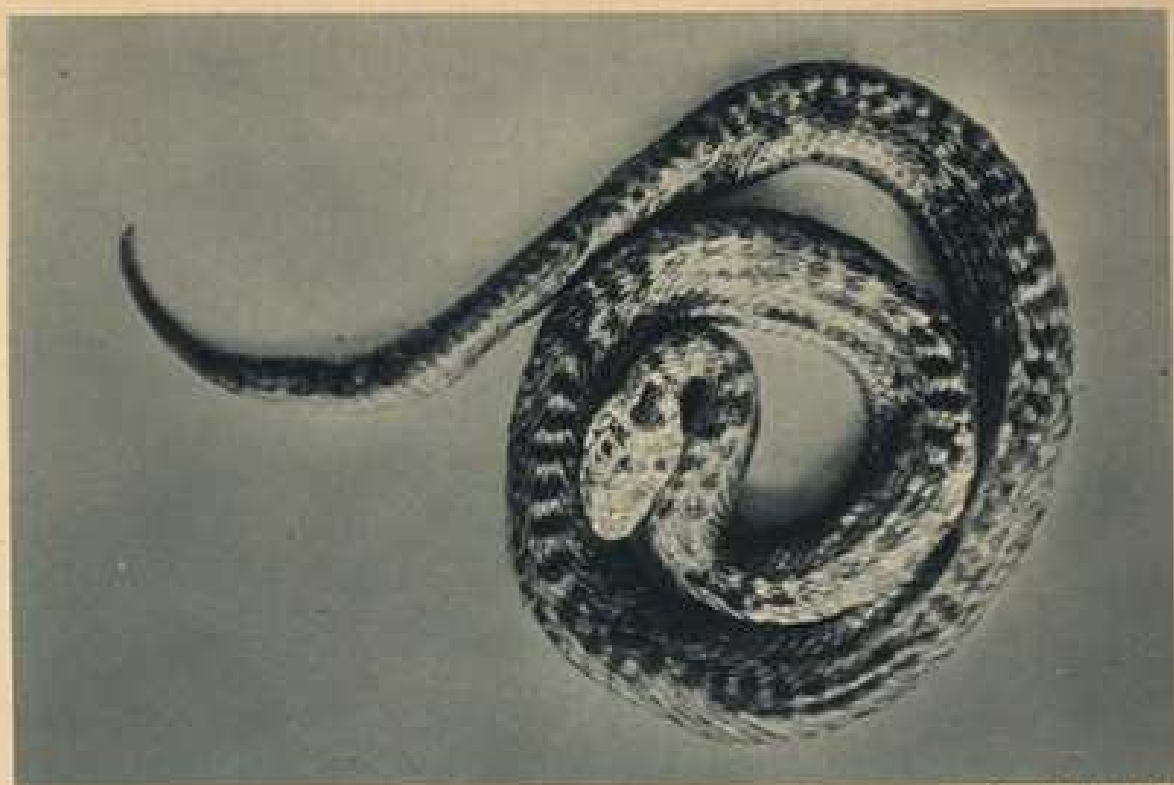
„Niósł wilk razy kilka — ponieśli i wilka,” — powiedział pan Sulkowski z namysłem.

Tylko stary wilk zdążył ująć do lasu, ale i on zapewne zginął z głodu, gdyż od tego czasu w całej okolicy nikt nie słyszał o wilkach. A wszyscy byli radzi, że pozbyli się gniazda niebezpiecznych żarłoków.

II.

Ž M I J E





Żmija

Agencja Photo-Plat



Żmija połtyka mysz

Agencja Photo-Plat



Stara sosna

Fot. J. Labus



Zajacze

Fot. J. Labus

Dzieci, pan Sulkowski przyszedł," — zawołała pani Wólczańska. Otwierając drzwi do jadalnego pokoju, gdzie, zajęci nową lamigłówką, siedzieli dookoła stołu Witek, Julek i Hania.

Na te słowa dzieci porwały się z miejsc i, prześcigając się nawzajem, wpadły do pokoju kredensowego.

„Dzień dobry", — zawołały do siedzącego na ławie przy-sadkowego jegomościa w szarem samodzielnym ubraniu i długich, czarnych butach.

Był to gajowy z puszczy. Wsparty jedną ręką o długi kij zagięty, drugą gładził swoje siwe, sumiaste wąsy. Na widok dzieci uśmiechnął się swoją dobrą twarzą i odpowiedział: „Dzień dobry, dzieci!”

„Czy pan przyszedł do tatusia w interesie?" — pytał Witek.

„A mam interes, mam..."

„Jaki?" — zapytał Julek: — „może wilki zjawily się znowu u pana?"

„Mamy polować z waszym tatusiem."

„Może tymczasem, zanim tatuś przyjdzie, pan nam coś opowie," — prosiła Hania.

Pan Sulkowski opowiadał nieraz dzieciom różne historie z życia w lesie, o zwierzętach i ptakach, przytem doskonale naśladował głosy ptasie.

To też dzieci kochały go bardzo i nie wypuszczały z domu bez „opowieści leśnej."

Czuł pan Sulkowski, że i dziś nie będzie mógł wykręcić się od tego. Poprawił się więc na ławie i zaczął:

„A wiecie, dzieci, jakiego lokatora mieliśmy tego lata w gajówce?"

— „Jakiego?" — podchwyciły dzieci.

„Nigdybyście nie zgadły: żmiję z całą jej rodziną."

„Ooo!..." — zdziwiły się dzieci.

„Prócz tych butów, które mam teraz na nogach," — zaczął pan Sulkowski: — „posiadam jeszcze drugą parę odświętnych,

których nie nosilem przez czas dłuższy i które, związane sznurem, wisiały na gwoździu przy oknie. Ramy okienne są u nas już trochę spróchniałe, a w dolnej szybie wypadł rożek szkła. Przez ten otwór w oknie wślizgnęła się żmija i zamieszkała w moim bucie. Moje dzieciaki są, jak zwykle, ciekawe i muszą wszystko widzieć. Odrązu zauważyły żmiję, ale myślały, że to jeden z tych wężyków, co to latem do nas ściągają, i zaraz zawiadomiły: — Tato, w twoim bucie mieszka wąż. — Machnąłem na to ręką i powiadam: — Niech mieszka, nie straszcie go, przecież to stworzenie boskie — potrzebuje także gdzieś się schować od zimna i deszczu. Ale Janek, najsprytniejszy z moich dzieci, powiada:

— To jakiś inny wąż, bo ma na grzbiecie czarną pręgę zygzakowatą. —

O, myślę sobie: to już nie wąż, tylko jadowita żmija. Bo musicie wiedzieć, dzieci, że żmiję można poznać właśnie po tej przędze. Więc mówię moim smykom: — bądźcie ostrożne, bo to zapewne żmija, której jad jest śmiertelny. Żmije są bardzo bojaźliwe i unikają ludzi, lecz gdy się je drażni, gryzą, wypuszczając z otworków dwu zębów trujący jad. Dzieci zdaleka obserwowały żmiję, widziały, jak wypelzała z buta przez wybitą szybę i ześlizgiwała się po ścianie domu do lasu.

Jednego wieczoru, gdy późno wróciłem z lasu, i wszyscy usiedliśmy do wieczerzy, widzieliśmy, jak i nasza żmija wpelzła do mieszkania. Ale była jakaś niespokojna: to pelzała po bucie, to wchodziła do niego, tak, że wszyscy zaczęliśmy ją obserwować. Aż nareszcie zawisła nad butem, uczepiwszy się sznurka, i wysypała z siebie małe żmijki. Sporo było tych małych. O, powiadam do dzieci: jest to jeszcze jeden dowód, że to jadowita żmija, gdyż żmije, w przeciwieństwie do węzów, są żyworodne.

Zrozumieliśmy teraz, poco żmii był potrzebny mój but — uważała go za dobre schronienie dla swych dzieci. W lesie obawiała się zwierząt, polujących na małe gady, szczególnie

borsuka i jeża, które ze smakiem zjadają żmije. W bucie widocznie usłala sobie gniazdo.

Moje dzieciaki chciały zaraz zobaczyć male żmijki, ale nie. pozwoliłem im, mówiąc, by zajrzały do buta dopiero jutro, gdy matki nie będzie w gnieździe. Następnego dnia żmija zachowywała się bardzo ruchliwie: często wypelzała z gniazda i często wracała, by swoje dzieci nakarmić lub obejrzeć.

Janek znalazł taką chwilę, kiedy żmija wypelzła z domu, zdjął but i, przywoławszy dzieci, wytrząsnął z niego male na podłogę. Naliczył ich aż 16.

A jak wily się maleństwa na wszystkie strony! chciał już Janek wrzucić je do gniazda, gdy Wojtkowi przyszedł nowy pomysł do głowy i powiada:

—Wiesz, Janku, nie wsypuj tych małych do buta, powieś pusty but na gwoździu; zobaczymy, co robi żmija, gdy nie znajdzie swoich małych.—

Doskonale!—odpowiada Janek:—najpierw zawiesimy pusty but, a potem, gdy żmija wypelznie do lasu, wsypiemy jej male. Zrobili, jak powiedzieli, ale nawet nie przypuszczali, jak bardzo narażali się na niebezpieczeństwo.

Nie przyszło im bynajmniej do głowy, że za taki żart mogliby przypłacić życiem całej naszej gromadki!”

Witek, Julek i Hania aż wstrzymali oddech, tak bardzo byli przejęci opowiadaniem pana Śulkowskiego, który ciągnął dalej:

„Janek wgarnął male żmijki do czapki, a pusty but powiesił po dawnemu na gwoździu. Za chwilę żmija wślizgnęła się do buta, lecz nie znalazłszy małych, wypelzła szybko. Wpelzła do drugiego buta, znów do pierwszego i tak kilkakrotnie odbyła poszukiwania swych dzieci, wijąc się coraz gwałtowniej i zdradzając coraz to większy niepokój i rozdrażnienie.

Dopiero teraz dzieci przeraziły się swego czynu; instynktow-

nie stoczyły się przy drzwiach, gotowe w razie czego do ucieczki. Wreszcie żmija wślizgnęła się przez otwór w szybie na dwór. I dzieci przebiegły na dwór, by wysledzić, co zrobi zrozpaczone stworzenie. Ale jakież było ich zdziwienie, gdy zamiast do lasu wpelzła pewnym ruchem przez małe okienko przy ziemi do piwnicy. Wchodziła tam nieraz na połów myszy, które zjadała. Musiała też przy polowaniu zauważyć, że na podłodze piwnicy stały gliniane dzieżki z mlekiem. Dzieci ciekawe przylgnęły twarzami do piwnicznego okienka i zobaczyły, jak teraz żmija tam gospodarowała: podpełzała kolejno do każdej dzieżki i, stanawszy świderkiem, zanurzała swój trójkątny leb w mleku. Niektóre garneczki były przykryte drewnianymi denkami. Ale żmija nie darowała: uderzała swą głową tak długo, aż odsunęła denko o tyle, by ją zmieścić w szparze. Dzieci przeraziły się na dobre: — Co ta żmija robi? Zapewne zatruwa nam mleko! —

Było to jasne, że, posądzając ludzi o zamordowanie jej dzieci, chciała ich w ten sposób ukarać. Dzieci odsunęły się od okienka, a żmija wolno wypelzała z piwnicy. Z początku jakby wahała się, dokąd ma się udać. Potem nagle zdecydowana, podpełzła do otworu szyby i wślizgnęła się do buta. Może zrezygnowana szła tam na pewną śmierć, by ludzie, odebrawszy jej małe, i ją pozbawili życia... Lecz tutaj zastała wszystkie swoje małe...

Trudno powiedzieć, czy żmija z rozpaczy szybciej się wila, czy też z radości, — dość, że cały but aż się chwiał pod oknem. Potem nagle wypelzła z buta i znów udała się do piwnicy. Dzieciaki, zainteresowane, znowu pobiegły do okienka i cóż zobaczyły?

Żmija mocowała się po kolei z każdą dzieżką mleka, aż ją obalila i wylała zawartość na podłogę. Szło jej to dość trudno, i widocznie zmęczyła się biedna matka, która za życie swych dzieci chciała też i innym życie odebrać! Teraz po odnalezieniu małych poczuła, że byłaby niesprawiedliwa.

Fakt ten utwierdził dzieci w ich przypuszczeniu o początkowym zatruciu mleka. Mieliśmy więc stratę, gdyż żmija wylała nam mleko z wszystkich czterech dzieżek. Ludzie dowodzą, że jad żmij szkodzi wtedy tylko, gdy wchodzi bezpośrednio do krwi. Jednak następnego dnia moja żona znalazła w piwnicy przy rozlanem mleku z tuzin nieżywych myszy, które się niem widocznie struły. To też mogłoby stać się gorzej, gdybyśmy, nic nie wiedząc, wypili zatrute mleko.

Tak przekonały się moje dzieci, że mają wpobliżu nie byle jakiego wroga, i od tego czasu nie próbowały dokuczać żmii i jej rodzinie. Obserwowały tylko zdaleka, jak matka - żmija wysuwała się z gniazda, ginęła gdzieś w lesie, a potem wracała do swoich dzieci, które rosły szybko. Wkrótce wypelzały z buta w świat, aż razu jednego matka wyprowadziła je wszystkie do lasu.

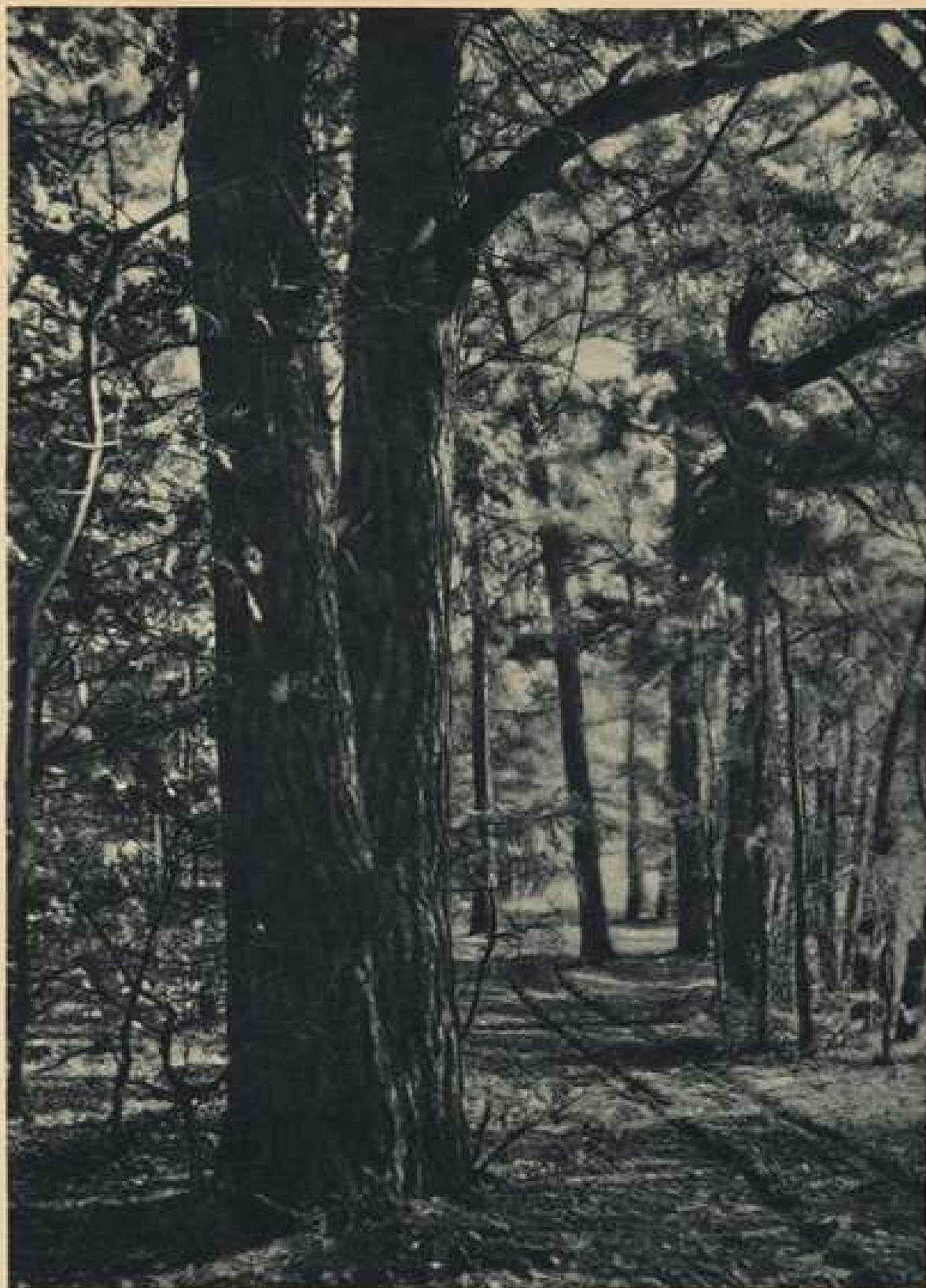
A jak kręciła się, jak uwijała przytem! To pęzła przodem, to wila się w tyle całej swojej gromadki, jakby je ciągle liczyła i sprawdzała.

Trzeba trafu, że mały Bukiet, szczeniak naszej Muchy, bawił się wpobliżu. Wyskoczył i zaczął ujadać na żmije: to przyskakiwał, to odskakiwał na tak niezwykły widok. A żmije idą, rzeczywiście, bardzo dziwnie: poprostu płyną, jakby gęstą rzeką, wydając groźny syk. Żmija-matka, zobaczywszy psa, stanęła świdrem, wyciągnęła głowę, a Bukiet podskoczył do niej. Głupi szczeniak nie wiedział, z kim ma do czynienia! Żmija ugryzła go w szyję, aż zawył z bólu, — lecz za chwil parę już nie żył...

Dzieci moje, które były świadkami tej walki o śmierć i życie, przeraziły się szybkością działania jadu żmii. I choć bardzo lubiły małego Bukieta, podeszły do niego dopiero wtedy, gdy żmije skryły się w lesie. A ja byłem bardzo rad, dowiedziawszy się, że wreszcie żmije opuściły legowisko w moim bucie.

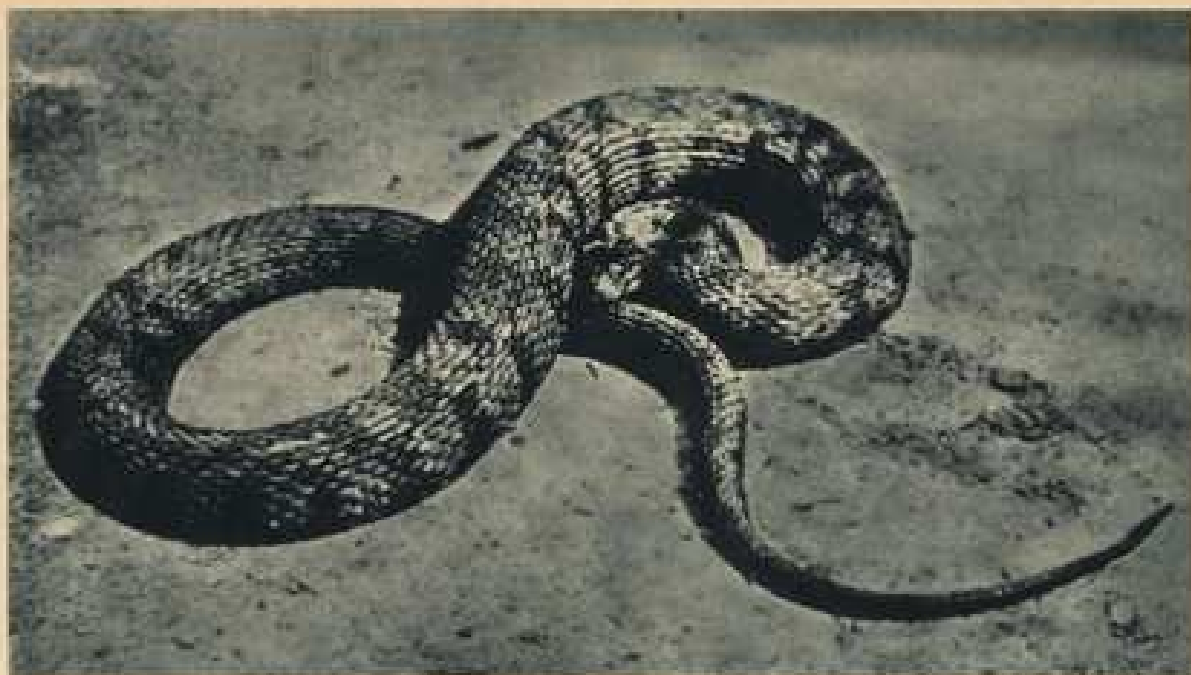
„Czy po ukąszeniu żmii i człowiek musi zaraz umrzeć?” — spytał Witek.

— „Różnie ratuje się od śmierci ukąszonego przez żmiję. W miastach lekarze stosują zastrzyki przeciwko truciźnie żmii, ale te zabiegi są przeważnie spóźnione, i człowiek umiera. Najprostszy sposób — natychmiast po ukąszeniu silnie skrepuwać sznurem w 2 miejscach: powyżej i poniżej rany, a miejsce ukąszone wypalić rozpalonem żelazem lub wyciąć, by z krwią wypłynął jad. Ponieważ żmija gryzie przeważnie w rękę lub nogę, nie jest to trudna operacja.”



Las

Fot. H. Podgórski



Wąż

Fot. J. Labus

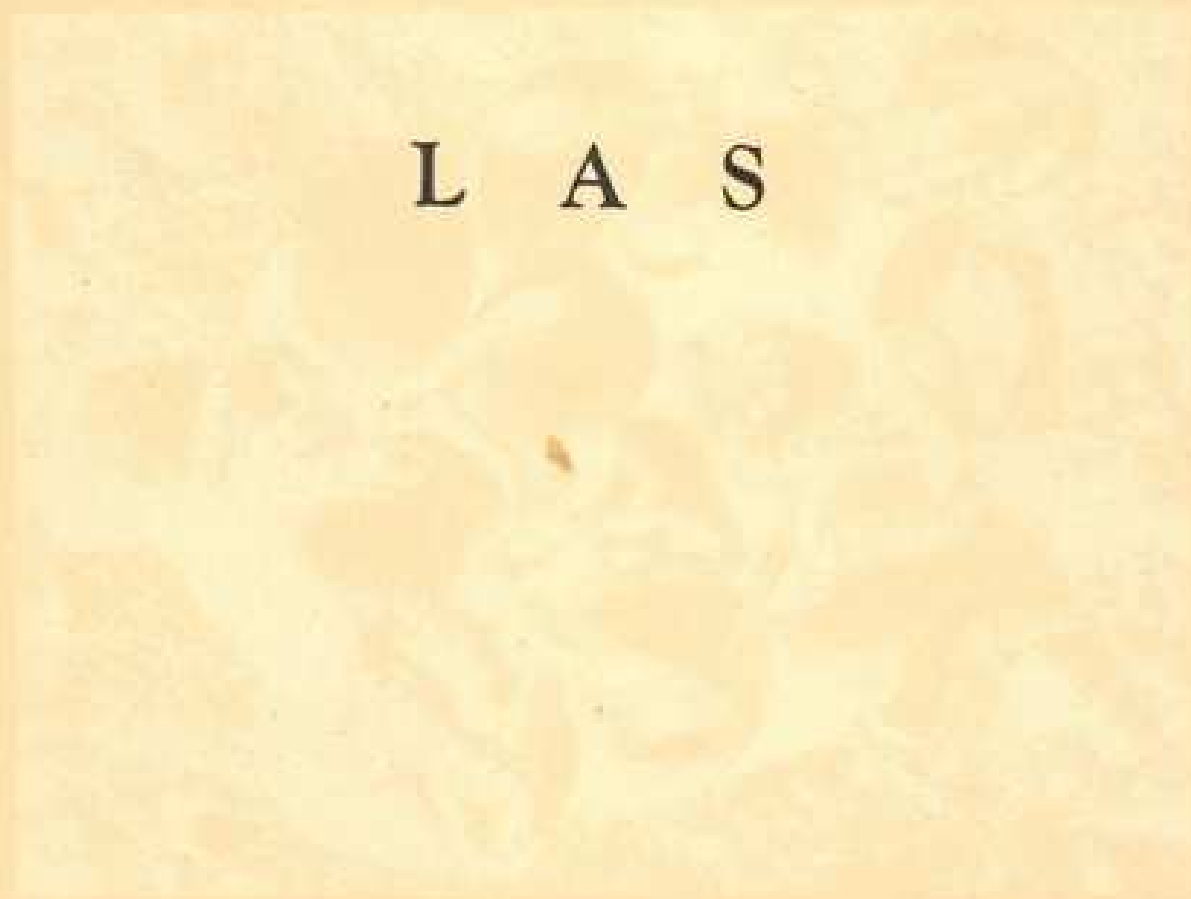


Wylęg wężyków

Agencja Photo-Plat



III.



L A S

Czyt jest coś piękniejszego
nad stary polski las,
co w każdej porze roku
swą krasą wabi nas?...

Był upalny letni ranek, gdy pan Wólczański, budząc dzieci, zawołał: „Ubierajcie się prędko, pojedziemy do gajówki, a po drodze nazbieramy grzybów i jagód.”

W godzinę później jechały dzieci z tatusiem i woźnicą, Antkiem, przez las zieloną „leśną” bryczką. Pierwsza żywa istota, która przywitała wjeżdżających do lasu, była to ruda wiewióreczka z puszystym ogonkiem. Siedziała poważnie na skrajnej sośnie i ogryzała szyszkę, którą zręcznie obracała przednimi łapkami. Ujrawszy ludzi, odskoczyła lekko na dalsze gałązki, nie wypuszczając szyszki z łapek. Dzieci roześmiały się, ubawione jej zakłopotaniem.

Bryczka toczyła się dość nierówno, od czasu do czasu podskakując na wystających tu i tam korzeniach drzew. Droga chwilami zwężała się, a niektóre gałęzie wystawały nad przejeżdżającymi tak, że musieli nachylać głowy, by uniknąć po drapania przez igły drzewne. Nowy więc powód do śmiechu! Antek wymachiwał batem, pokrzykując na kasztanki: „wio, małeńkie!” a echo po całym lesie powtarzało wołanie Antka. Witkowi przyszła do głowy nowa zabawa — przekrzykiwanie się z echem. Zawołał więc: „chodź, echo! chodź!” I otrzymał to samo w odpowiedzi. Julek i Hania wołali: „hop, hop!” I echo powtarzało: „hop! hop!” Dzieci śmiały się, i las się śmiał...

Ile radości sprawił im las, jak lekko oddychało się tutaj!

Był to stary las sosnowy, usłany grubą warstwą brązowego igliwia i zeszłorocznymi szerniałymi liśćmi. Stał w skwarze letnim spokojny i chłodny. Wysokie pnie drzewne o czerwonej korze i wielkich, zielonych koronach stały twardo, nieporuszenie. Gdzie niegdzie widniały wysmukłe świerki i jodły, gdzie niegdzie zjawiał się modrzew lub krzew leszczyny. To tu, to tam ukazywały się kopulaste jałowce, a po ziemi słały się niskie krzaki borówek i czernic. Po obu stronach drogi były tu usypane mrówcze kopce, w których aż roilo się od dużych, czarnych mrówek leśnych.

„Co za olbrzymie mrowiska!” — zauważył pan Wólczański: i pomyśleć tylko, że takie małe stworzonka umieją usypać sobie tak wspaniałe pałace!”

„Opowiedz nam, tatusiu, coś o mrówkach,” — prosiły dzieci.

„Są to nieustrudzone owady — może jeszcze bardziej pracowite od pszczół. Sądząc po usypanych przez nie kopcach, które rozmiarem swoim są paręset razy większe od każdej pojedynczej mrówki, musimy przyznać, że posiadają one nie tylko siłę, ale też wiele sprytu, wytrwałości i zdolności organizacji społecznej. O, patrzcie, jak mrówka dźwiga żuka, który w porównaniu z nią jest olbrzymem, niby słoń dla nas; zabiega z tej i z tamtej strony, podpycha, wlecze, aż wciągnie go do swego mrowiska... Dzielą one prace między siebie w ten sposób, że jedne z nich budują, inne przynoszą pożywienie, inne znów opiekują się królami, które znoszą jajka; a jeszcze inne wychowują małe, — ba, są nawet mrówki wojskowe, które prowadzą swoje podwładne drużyny w regularnym szyku na wroga, jest i straż dla ochrony wejść w razie napaści obcych mrówek. A jak pięknie mają urządzone swoje mrowiska wewnątrz! Są tam sale o specjalnem przeznaczeniu: sypialne, jadalne, nawet wiecowe i długie korytarze. Zmysłność ich sięga aż tak daleko, że hodują sobie krówki, by pić ich mleko. Otóż widzieliście może na kwiatach w ogrodzie drobne mszyce, obok których szybko uwijały się mrówki, — właśnie te małe stworzonka piją sok z kwiatów, by dostarczać słodkiego napoju mrówkom, które je umiejętnie głaszczą.”

W tej chwili dzieci zwróciły uwagę na rosnące nieopodal grzyby o różowych kapeluszach.

„Jakie to grzyby, tatusiu? — zapytały.

„To serojeszki jadalne. Jeżeli chcecie, możemy tu wysiąść i zbierać grzyby.”

Dzieci natychmiast wyskoczyły z bryczki.

„Antku, oganiaj kasztanki od bąków, my pójdziemy w las,” — dorzucił tatuś.

Tutaj las zrzedł i miał piękne podszycie z krzaków liściastych i młodych sosenek, pod którymi, jak najwspanialszy dywan, słał się jasnozielony, miękki mech. Coraz częściej spotykały się świerki i jodły.

„Bądźcie ostrożne, dzieci, nie zrywajcie nieznanych grzybów, gdyż wśród nich jest wiele trujących.”

„Ja znam muchomora, co muchy truje,” — zawołała Hania: — „ma taką wysoką lodygę i na kapeluszu białe strupki!”

„Tak, ale prócz muchomorów są jeszcze inne trujące grzyby.”

„O, ja znam jadalne,” — odezwał się Witek: — „nauczyłem się nawet wierszyka o nich:

„Kurki żółte, niby kwiatki,
i maślaczek lśniący, gładki,
koźlak na wysokiej nodze
i borowik dumny srodze...”

„Ja muszę znaleźć króla grzybów, borowika!” — postanawia Julek. I dzieci, pełne nadziei na pomyślne zbiory, biegną bezszelestnie po mchu.

„Proszę was, dzieci, byście grzyby ścinały scyzorykami i od razu sprawdzały, czy nie są robaczywe,” — zwrócił im uwagę tatuś.

Pod wysoką paprocią, jak pod parasolem, stoi pomarańczowy w ciemniejsze pręgi rydz, — zobaczył go Witek i z radością woła:

„Mam, mam rydza! będzie dla mamusi, bo mamusia mówi, że to najsmaczniejszy grzyb!”

Dalej pod rozłożystymi gałęzmi młodych sosen znalazły dzieci dużą rodzinę grubych, jędrnych rydzów, — przy ścinaniu ich aż unosił się miły zapach w powietrzu.

„To są najlepsze „borowe” rydze,” — tłumaczył tatuś, a dzieci z zapalem wyszukiwały coraz to nowe i nowe grzyby, witając je okrzykami radości. Tyle rydzów zbierały! Julkowi udało się znaleźć kilka dużych borowików o brązowych kapelusikach. Zbrakło już miejsca w koszykach na maślaki.

Tymczasem zbliżyli się wszyscy do podłużnej kotliny, którą przepływał mały leśny strumyk, tworząc dookoła błoto. Tu rosły olchy, lubiące wilgoć, a u ich stóp krzewiły się duże paprocie i niebieskie niezapominajki. Żaby, wystraszone widokiem zbliżających się ludzi, wskakiwały z pluskiem do wody.

„Jaki duży ślimak...” — zawołał Julek, a Witek dodał:

„Mój ślimaczku, wystaw rogi,
dam ci grosza na pierogi!”

Ale ślimak wkulił się do swej skorupki, okazując zupełną obojętność.

„Czy wiecie, że ślimak ma na tych rożkach osadzone oczy? Dlatego też wysadza je najpierw, by zbadać czy w pobliżu nie ma wroga. Widzę, że macie koszyki, pełne grzybów, chodźcie więc już do bryczki, — pojedziemy do gajówki, by napić się tam świeżego mleka.”

Dzieci powsiadały do bryczki i pojechały dalej przez las, który stopniowo zmieniał się z sosnowego w świerkowy.

Było południe, więc wiele ptaków, zmęczonych śpiewem, umilkło na czas największego upału. Tylko żółta wilga zawodziła: „Zofijo, Zofijo! pójdziesz do kościoła? pójde i ja, pójde i ja!” Druga zoddali odpowiadała jej takim samem wołaniem, aż echo rozchodziło się po lesie od ich przekrzykiwań.

Po krótkim odpoczynku południowym odezwały się inne ptaki. Naśladował wilgę szczygielek swemi ładnymi trelami, kos zagwizdał przeciągle, zielony czyżyk zaterkotał z wierzchołka jodły swoje: „tertetet!” Odezwała się sikorka, zaśpiewał też pięknie najmniejszy nasz ptaszek, mysikrólik. Zakukała i kukulka swoje nieustanne: „ku — ku!”

„Zuzula, zuzula, ile lat do mego wesela?” — pytały dzieci kukulki, która dawała im niezliczone odpowiedzi. Piękny dzięcioł zielony, lekarz leśny, postukiwał dziobem w drzewa, wyszukując pod korą największych szkodników drzew iglastych, korniki, które smacznie zjadał. Ciemne wrony i kruki prze-

latywały z drzewa na drzewo. Niekiedy modre kraski uwijały się zgrabnie.

„Tatusiu, czy jeszcze daleko do pana Sulkowskiego?” — dopytywały się dzieci.

„Za tym zakrętem zobaczycie już gajówkę.”

Wkrótce bryczka wyjechała na skraj lasu.

„Jak tu pięknie!” — wyrwał się dzieciom okrzyk zachwytu.

Rzeczywiście, przed oczyma jadących rozciągała się malownicza, porośnięta świeżą zielenią, dolina, której środkiem płynęła rzeka. Nasi podróżni znaleźli się na wysokim brzegu łąki; do drugiego jej brzegu ściśle przylegał las.

„To Sarnia Biel,” — powiedział ojciec: — „sarny przychodzą tu pić i znajdują po rogach tej bieli żłoby, do których pan Sulkowski zimową porą sypie dla nich obrok.”

Teraz Antek wskazał batem na gajówkę, wylaniającą się z pośród zieleni drzew, i dzieci z zaciekawieniem spojrzały na nią.

„Jaki ładny, mały domeczek z gankiem,” — zawołał Julek.

„Ta gajówka wygląda zupełnie tajemniczo, jak zbójcecki, leśny zameczek,” — zauważył Witek: — „chciałbym tu mieszkać.”

„A ja chciałabym karmić sarenki,” — dorzuciła Hania.

„Co to za żółte kwiaty rosną pod drzewami? wyglądają, jakby były posiane wzdłuż drogi,” — zapytał teraz Julek.

„To żarnowiec, ulubiona salátka zajęczków, — zasiewa go pan Sulkowski, by nasze kochane gryzonie nie były głodne. Krzewy te wyrastają nieraz bardzo wysoko, kwitną od maja i zielenią się do późnej jesieni,” — objaśniał tatuś.

„My nazywamy to „mietlicą,” — dorzucił Antek: — „bo z tych badyli wiążemy miotły.”

Za chwilę bryczka zajeżdżała przed gajówkę. Z ganku wyszedł pan Sulkowski, witając zapowiedzianych gości. Kudłaty pies, uwiązany na łańcuchu przy budzie, ujadł głośno.

„Tędy, tędy proszę do chałupy,” — zapraszał pan Sulkowski. A dzieciom domek nie wydawał się bynajmniej „chałupą”.

Z rzeźbionego ganeczka goście weszli do sionki, a dopiero stąd do widnego pokoju.

Tutaj ukazał się dzieciom niezwykle widok. Na podłodze siedziało kołem kilkoro dzieci i zjadało coś z jednej miski, stojącej pośrodku. Lecz prócz dziecinnych łyżek drewnianych sięgały lebki jakichś stworzeń. Wydłużone ich ciała były pokryte wypukłymi łusczkami o mieniającej się szaro-zielonej barwie. Po bokach na białym tle widniały duże, czarne plamy.

„Co to jest, proszę pana?” — spytał Witek, podchodząc do pana Sulkowskiego.

„To nasi stołownicy — węże. Czują, kiedy nasze dzieciśka zasiadają do jedzenia, i zawsze przychodzą pożywić się.”

Rzeczywiście, między dziećmi, siedzącymi na podłodze, czołgały się trzy nieduże węże, wkładające swe pyszczki do miski z jedzeniem. Jeden nawet wtykał swój lebek do łyżki najmniejszego dziecka, które, zniecierpliwione takim natęctwem nieproszonego gościa, uderzyło go po głowie swoją drewnianą łyżką. Wąż, widocznie przyzwyczajony do takich razów dziecięcych, na chwilę uchylił główkę i znów sięgał do miski po jadlo.

„Tatusiu,” — zawołała przerażona Hania: — „ja boję się tych wężów!”

„One nic złego nie robią,” — powiedział pan Sulkowski: — „przecież z moimi dziećmi żyją w najlepszej zgodzie. Razem wygrzewają się w piasku przed domem, razem zasiadają do jedzenia, nieraz nawet i do łóżka wlezie który. To też przyzwyczailiśmy się do ich obecności. Są to węże leśne, zupełnie nieszkodliwe, jak zresztą i wszystkie nasze węże. Czasem wlażą na drzewa i zakradają się do gniazd po jaja ptasie, czasem zdarzy się, że i pisklęta porwą z gniazda. Ale sroka robi więcej szkody od węża, który byle czem się nasyci. Nawet owady zjada, pochłania żaby i trytony.

„Czy one nie gryzą ludzi?” — spytał Julek.

„Nie. Żaby polykają całe tak, że te żyją jeszcze przez pewien czas w ich żołądkach. Wąż broni się zato inaczej. Gdy go ktoś chwyci i ściśnie, wydziela on przez małe otworki skóry mleczny płyn, tak wstrętne cuchnący, że nawet powietrze zanieczyszcza się dookoła, a napastnik puszcza go natychmiast. Dlatego moje dzieci nigdy nie biorą wężów do rąk.”

„A gdzie one mieszkają?” — pytały dzieci.

„Zwykle w lesie. Lęgną się one z jaj, złożonych w zgnitych liściach lub w nawozie. A jak dziwnie wyglądają te jajeczka — zupełnie jak naszyjnik: owalne, wielkości gołębic, i miękkie, jak rybia ikra, są one po 16 do 20 posklejane w rząd galaretowatą masą. Nasz Janek, wytrząsając kiedyś widłami nawóz, znalazł takie jajka, a nie wiedząc, co to jest, przyniósł je do mieszkania, i tutaj wylęgły się nam te węże. Nic więc dziwnego, że przyzwyczały się do domu. Najbardziej charakterystyczne u nich jest to, że zmieniają swoją skórę. Ot, zejdzie to coś takiego, jakby drugi wąż leżał obok. Skóra ta jest cieniutka, przezroczysta, a po pewnym czasie kruszy się. Proces gubienia skóry odbywa się u nich prawie co miesiąc i jest dla nich bezbolesnem wydzieleniem zbytecznych części pożywienia. Pod utraconą skórą ma wąż już nową o świeżych, lśniących barwach. Trzymaliśmy dawniej kota na myszy, teraz przez lato wylawiają je węże.”

„Czy tylko latem?” — spytały dzieci.

— „Tak, gdyż wąż, jak wszystkie plazy i gady, drętwieje na zimę i zupełnie nie żeruje. Jeszcze przed czasem chowa się pod mchem i tam skostniały czeka na wiosenne słońce. Rozumie się, gdybyśmy przenieśli takiego drętwego węża do cieplej izby, to ożyłby znowu.

„Proszę pana,” — odezwał się Witek, który nabrał zaufania do wężów: — „czybyśmy nie mogli zawieźć jednego do domu?... u nas tyle myszy.”

Pan Sulkowski chętnie ofiarował dzieciom największego ze swych domowych węzów.

Tymczasem pani Sulkowska zastawiła stół do posilku i zapraszała gości. Znalazły się tu 2 dzieciśki świeżego mleka, aromatyczny chleb razowy, biały ser i słoik wybornego miodu. Dzieciom wszystko ogromnie smakowało. Po jedzeniu wybrali się wszyscy do najbliższej poręby.

Był to duży kwadrat wyciętego lasu; odcinał się od wysokich drzew obramowania, jak od czterech ścian. Słońce, wdarłszy się w otwarty zakątek leśny, rozpostarło tu swoje dobroczynne promienie: grzało i pobudzało wszystko do życia. To też poręba w pełni oświetlenia słonecznego stała wśród zieleni, niby piękny kolorowy bukiet. Bo i czegoż tu nie było!

Z pośród wysokich traw leśnych widniały na wybujałych łodygach kwiaty wszelakich kształtów i barw: białe i żółte rumiany i ponsowe goździki, fioletowe dzwonki i nakrapiane szaleje, różowe glogi i moc innego, aromatycznego kwiecia. Dookoła uwijały się całe roje owadów. Piękne łątki snuły się spokojnie i lekko. Polne koniki terkotały bez przerwy. Pracowite pszczoły leśne, bzyząc, zbierały miód; buuu! buczał pękaty, niedźwiadkowaty trzmiel, a złośnica-osa, przelatując, wpadała w ich ton. Tu muchy, tam bąki, komary, — co za przepiękny akompanjament do ptasiego koncertu, rozlegającego się na drzewach. A motyle! ileż tu ich, ile? różnobarwne uwijały się, by na liściach złożyć jajka, z których wylęgą się grube gąsienice i będą żyły temi liśćmi. Ach te liszki! aż spadają z krzaków, tak wiele ich tutaj!

Dzieci znalazły tu prawdziwy raj, wśród kwiatów czerwieniły się całe place dojrzałych, pachnących poziomek. Ze śmiechem przebiegały z jednego miejsca na drugie i jadły, jadły... Julek uważał, że najlepiej zbiera się poziomki, leżąc na brzuchu, i kładł się, jak długi, biorąc jagody wprost do ust. Prócz tego dzieci nazbierały do koszyka dla mamusi. Potem pobiegły do modrych jerezyn, które rosły na długich, pokrę-

conych lodygach. Lecz zbieranie ich nie było tak przyjemne, gdyż kolce lodyg drapały dzieciom ręce.

„Wolimy poziomki,” — mówiły.

„Uważajcie, dzieci, na ten krzak o czerwonych gałązkach, na których rosną czarne jagody, — są to trujące wilczojagody, więc ich nie jedzcie!” — przypominał pan Sulkowski.

„Nie, nie, mamy tu coś lepszego!” — wołały dzieci, zabierając się do pięknych czerwonych malin.

Pan Wólczański, widząc, że dzieci zmęczyły się zbieraniem jagód, zaproponował im odpoczynek pod dębem. Tu, pod stuletnim drzewem o grubych, rozłożystych konarach, rozsiadli się wszyscy. Dzieci zwróciły uwagę na żołędzie, leżące pod dębem i dowiedziały się od ojca, że są to dębu owoce, które żywią się nie tylko zwierzęta leśne, ale i ludzie. Gdy dojrzeją we wrześniu, palimy je, mielimy i przyrządzamy z nich smaczną żołędziową kawę.

Już słońce zaczynało opuszczać się ku zachodowi, i ptactwo milkło stopniowo, więc ojciec wstał, mówiąc:

„Musimy śpieszyć się, mamy sporo drogi do domu, a wy zapewne nie będziecie chciały jechać przez las pociemku.”

„O! nie, tatusiu, my wcale nie boimy się ciemnego lasu: on taki piękny!” — odpowiedziały chórem.

„Odprowadzę państwa do drogi i zobaczę, czy też te zuchy nie przestraszą się naszych puhaczy,” — powiedział pan Sulkowski.

„Puhaczy?” — zapytały zdziwione dzieci.

„O, tak, mamy w lesie różne gatunki sów. We dnie śpią na drzewach, a gdy się ściemni, polują, uganiając się za myszami i nietoperzami. Największa sowa nazywa się puhaczem. Jest to niebezpieczny drapieżnik w naszym lesie. Tępi co się da: i ptaki, i wiewiórki i zające, zabiera się nawet do saren. Ma dużą kocią głowę z dwoma pękami wysokich piór, a upierzenie sute i nastroszone. Boi się go wszystka zwierzyna leśna i drży na jego głos, gdyż wydaje on jakiś przeraźliwy

chichot szatański. Mnie samego nieraz aż ciarki przechodzą, gdy tak nagle zachichocze nad głową."

Słyszając te słowa, dzieci postanowiły nie okazywać strachu.

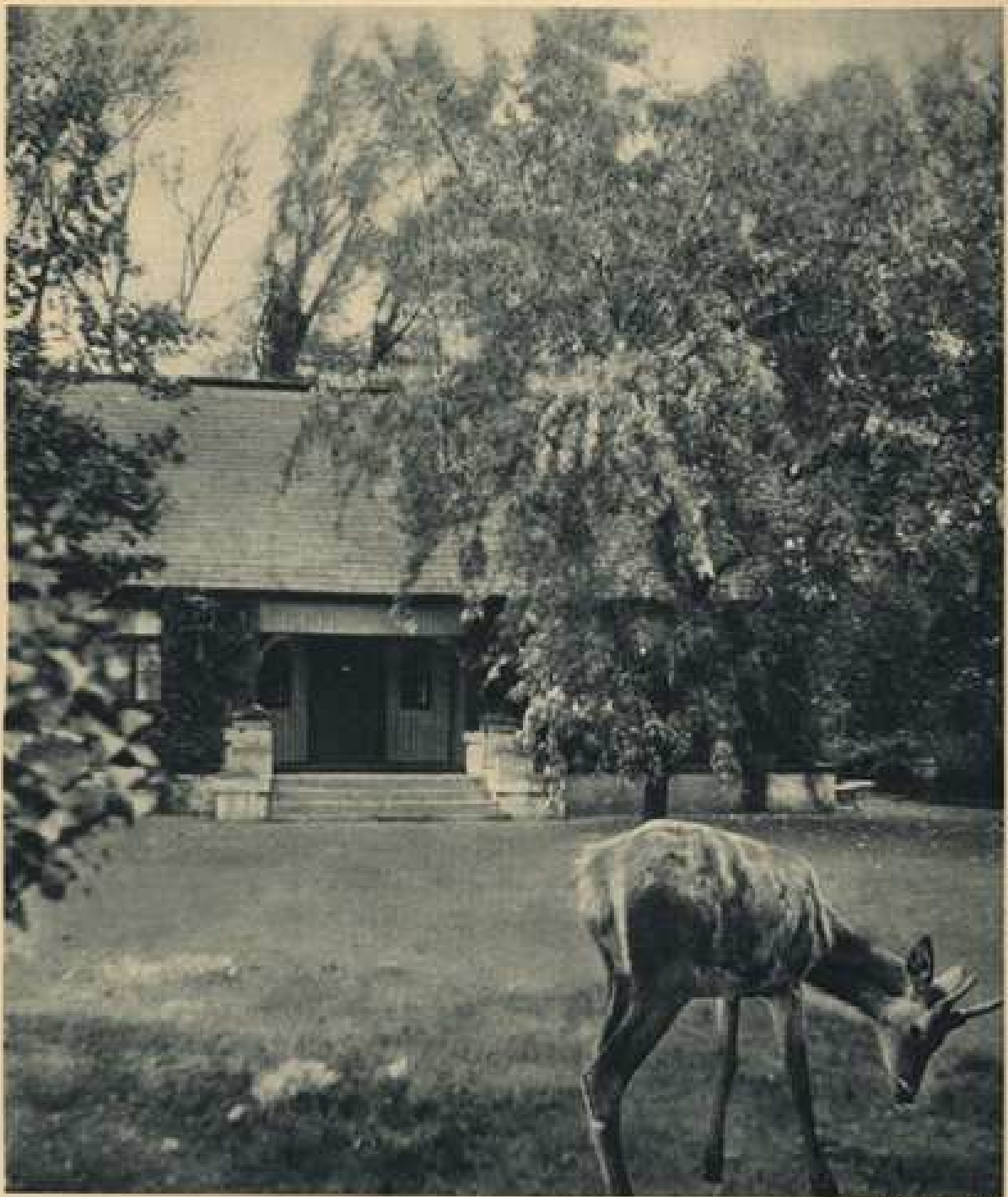
Nastąpiła powrotna podróż. Ciepły letni wieczór w lesie zmienił się szybko w czarną noc.

Dzieci znalazły się po raz pierwszy w życiu wśród ciemnego lasu i wsłuchiwały się w jego odgłosy. Miały dnia tego tyle wrażeń, wiozły tyle własnoręcznie zdobytych skarbów leśnych: i grzyby, i jagody, i kwiaty, paprocie, nawet żywego węża. A jednocześnie oczekiwały zapowiedzianych krzyków puhaczy, — skupiły się i cicho jechały w ciemnię. Życie w lesie nie ustawało: to nietoperz załopotał skrzydłami, to nocny ptak, lelek, przeleciał przez drogę...

Wtem: „hu-hu-hu-hu! cha-cha-cha-cha!” — rozległ się po całym lesie krzyk puhacza, a po nim rozdzierający pisk schwytanej przez niego ofiary...

Dzieci mimowoli zadrżały, ale natychmiast opanowały się.

„Widzę że jesteście bardzo odważne,” — powiedział pan Sulkowski przy pożegnaniu do nich: — „nie boicie się ani lasu, ani jego mieszkańców. Wobec tego należy się wam od niego podarek.”



„Emirek“

Fot. J. Lohse



Stajenka sarenck

Fot. J. Labus



Sarenki

Photo-Plat

IV.

S A R N Y

Późną jesienią znowu zawitał pan Sulkowski do Wólki.
„Dzieci!” — zawołał od progu: — „przywiozłem dla was coś z lasu!”

Dzieci, zaciekawione, wybiegły na podwórze. Zimny wiatr dał już przejmująco i wyginał nagie drzewa. Przed gankiem stała żółta bryczulka gajowego, a z niej wyglądały z pod koca dwie sarnie główki.

„Sarenki! Jakie śliczne! Zmarzły chyba biedaczki!” — wołały naprzemian dzieci.

„Jak możecie wyjść bez okryć w takie zimno?” — wołała, wybiegając za nimi, mama. Ale i mama nie mogła powstrzymać się od głośnego zachwyty na widok sarenek:

„Jakież to mile stworzonka!”

Pan Sulkowski zniósł je z bryczki do sieni i rozwiązywał im nogi, które dla bezpieczeństwa były skrępowane sznurem.

„Czy to dla nas na zawsze?” — pytały dzieci.

„Obiecałem przywieźć wam, dzieci, podarunek z lasu — macie więc sarenkę i koziołka.”

„A skąd pan je wziął?”

„Poczekajcie, opowiem wam wszystko pokolei, niech tylko biednym stworzeniom nogi oswobodzę, z pewnością zdrętwiały im podczas długiej podróży.”

Nareszcie kopytka zadudniły po podłodze sieni.

„Młode to jeszcze bardzo,” — zaczął znów pan Sulkowski: — „ale miały tak przykrą przygodę, że musiałem je ratować od śmierci. Ssały jeszcze matkę i biegały ciągle za nią, gdy podły klusownik zabił sarnę, osierociwszy słabe jeszcze maleństwa. Klusownika złapałem, pociągnąłem do odpowiedzialności, i musiał zapłacić karę...”

„To saren nie wolno zabijać?” — spytał Witek.

„Wolno bić tylko kozły, sarny zaś wychowują swe małe i są pod naszą specjalną opieką. Cóż? klusownik zapłacił karę, ale nie zwrócił matki tym małym. A były one jeszcze tak niezaradne! Sarna nie lubi niewoli i źle się chowa w zamknięciu, więc



nie chciałem ich zabierać z lasu, myśląc, że może jakoś dadzą sobie radę. Lecz okazało się, że cielątka były za słabe, a przysiętem opadły je kleszcze, które wpily się im pod skórę i tak je dręczyły, że porobiły im bąble i wrzody na plecach. Znać chybą kleszcza, jest to mały pajaczek o 4 parach nóg i, jak komar, żywi się krwią zwierząt i ludzi, — jest tylko od niego bardziej łakomy i ssawką swoją wpija się tak mocno w skórę, że nie można go oderwać. To też gdy zobaczyłem owrzodzone i pełne pasorzytów plecy tych małych, wziąłem je do swojej stajenki, powyczyszczałem z opitych krwią kleszczów i lekami wygoilem rany... Teraz, myślę sobie, oddam je dzieciom z Wólki: przecież mają swój chlewek przy ogrodzie, gdzie chowają różne zwierzęta. A sarenki dorastają dopiero w trzecim roku życia, więc do tego czasu trudno wychować się takiemu bezbronnemu stworzeniu w puszczy. Wszakże mają tylko bystre nogi do ucieczki, a wrogów pełno: i wilki, i lisy i pułacze... Musicie więc zaopiekować się niemi. Trudne to do oswojenia zwierzęta, gdyż nadewszystko kochają swobodę, ale w pierwszym roku życia może uda się wam przywiązać je do siebie. Jedzą one, jak koniki, — trawę, siano i koniczynę. Od czasu do czasu dajcie im słodką marchewkę, kawalek chleba lub cukru. A gdy się oswoją, będą brały jedzenie z waszych rąk. Nie straszcie ich tylko, by nabrały do was zaufania. Z początku byłoby dobrze przez pewien czas potrzymać je w chlewku, by przyzwyczaiły się w nim jadać. Później można otwierać drzwi, by wychodziły sobie na swobodę do ogródka i zagajnika. Oczywiście, trzeba pilnować, aby nie niszczyły młodych pędów drzew i krzewów, gdyż właśnie to im najbardziej smakuje. Na posiłki i na noc będą wracały do chlewka.”

Tak tłumaczył pan Sulkowski, ale dzieci słuchały tylko jednym uchem. Całą ich uwagę pochłonał widok zgrabnych sarenek, które płochliwie skupiły się w kącie sieni. Dzieci zapomniały narazie o podziękowaniu za piękny podarek. Gdy pan Sulkowski skończył opowiadanie, ubrały się szybko i razem

z nim zaprowadziły sarenki do chlewka, w którym dawniej mieszkały króliki. Dla sarenek ustawiono tu teraz żłób z drabinką.

„Do żłobu wsypcie owsa, za drabinkę nakładźcie świeżej trawy; a nie zapominajcie o świeżej wodzie do picia,” — przypominał pan Sulkowski.

Po wyjeździe gajowego dzieci zeszły się na naradę.

„Jak nazwiemy nasze sarnięta?” — podjął Witek.

„O tak, imiona — to bardzo ważna rzecz: muszą przecież przychodzić na nasze wołanie,” — zgodził się Julek.

„Niech nazywają się poprostu: sarenki,” — zaproponowała Hania.

Ale chłopcy nie chcieli się zgodzić na to.

„A czybyś ty chciała nazywać się poprostu: dziewczynką? Byłoby ci przykro nie mieć własnego imienia!” — przekonywał ją Julek.

Witek potwierdził: „Muszą mieć imiona!”

Nie było rady — i Hania musiała zgodzić się na pomysł braci. Po długich naradach zdecydowały się dzieci na imiona sarenki — Aza, a koziołka — Emir. Tak nazywały się ich ukochane młode koniki, które zostały sprzedane na ostatnim jarmarku. Więc dzieci zechciały te imiona drogich sobie istot przenieść na nowych ulubieńców.

„Chlewek również zmieni swą nazwę: odtąd będzie stajenką,” — zdecydował Witek, na co tym razem bez sprzeczki zgodziła się reszta. A ile razy ktoś ze starszych wyraził się: „chlewek sarenek”, dzieci poprawiały natychmiast: „stajenka”.

Odtąd codziennie rano biegały dzieci do stajenki, zanosząc swym wychowankom przysmaki. Hania miała dla nich zwykle dwa kawalki cukru w kieszonce od fartuszka. Sarenki powoli przyzwyczały się do obecności dzieci, ba! nawet chętnie same wybierały słodczy z kieszonki Hani. Wkrótce pozwalały już dzieciom obejmować się za szyję i drapać pod bródkę.

„Aza! Emir!” — wołały dzieci, a zwierzątka podbiegały na wołanie lekko, jak do tańca, na swych zgrabnych nóżkach,

strzygąc długimi uszami i zwracając ku dzieciom ruchem, pełnym wdzięku swe foremne, piękne główki. Podłużne, ciemne oczy sarnie przyjacielsko spoglądały na dzieci. Od czasu przyjazdu zmieniła im się barwa owłosienia: z czekoladowej szerść stała się popielato-szarą. Gdy sarenki chodziły po ogrodzie, dzieci pilnowały je, nie odstępując od nich ani na chwilę.

„Żeby nie uciekły,” — tłumaczyła Hania.

„Żeby sobie nóg nie połamały, skacząc przez płot,” — mówił Julek.

Lecz sarenkom było widocznie dobrze, polubiły one tak bardzo swoich małych opiekunów, że nie zamierzały ani uciekać, ani skakać przez płot. W końcu zimy dzieci przybiegły do ojca z nowiną:

„Tatusiu, Emirowi rosną rożki!”

„A tak, pierwsze rogi będą miały po jednym odrostkku.”

„Dlaczego mówisz, tatusiu: pierwsze rogi?” — pytały dzieci.

„Bo widzicie, koziołek zmienia co roku strój swojej głowy. Przed zimą jeszcze zrzuci on te rożki, a drugie wyrosną już o dwóch końcach, po roku — o trzech. U nas nie spotyka się rogacza, mającego więcej ponad 3 końce rogów. Rogi co roku wyrastają, jak w pochewce, powleczone owłosioną skórą i wyglądają, niby omszałe. Skóra ta później wysycha, lecz opada postrzępiona dopiero wówczas, gdy rogi są dostatecznie duże.

Sprawa rogów zainteresowała bardzo dzieci i z ciekawością śledziły ich wyrastanie. A gdy w marcu Emir ostatecznie oczyścił ze skóry swoje rożki, dzieci cieszyły się z pięknej ozdoby główki koziołka.

Nadeszły pogodne dni wiosenne. Emir i Aza coraz dłużej przebywały na dworze w cieniu zieleniejących się drzew, chętnie opuszczając stajenkę.

Razu pewnego pani Wólczańska, otworzywszy okno do ogrodu, siadła do fortepianu i grała dzieciom ich ulubione piosenki, a dzieci śpiewały zgodnym chórem. Nagle Julek spojrzał przez okno i zawołał:

„Mamusiu, sarenki słuchają naszego śpiewu!”

Wszyscy zbliżyli się do okna, pod którym tuż, tuż stały zasluchane sarenki.

„Sarny nadzwyczaj lubią muzykę, — widzicie, dzieci, zostały nawet swoje jedzenie i przybiegły tutaj, by posłuchać waszego śpiewu,” — powiedziała mama.

„Zagraj, mateczko, coś dla nich, zrób im tę przyjemność!” — prosiły dzieci.

A gdy mama zagrała, sarenki zasluchały się w tony fortepianu. Od tego czasu powtarzano częściej takie koncerty przy otwartem oknie dla sarenek, a one za każdym razem przybiegały posłuchać muzyki lub śpiewu.

W końcu kwietnia pan Wólczański wezwał dzieci do siebie i powiedział:

„Wiecie, jak lubię wasze sarenki, ale wiosna jest już w rozkwicie, więc musicie je wyprowadzić do lasu. Tam już znajdują sobie pożywienie, w ogrodzie zaczynają wyrządzać szkodę. Lubią bowiem zjadać rozwijające się pędy drzew i krzewów, więc poniszczą nam w ogrodzie wszystko tak, że nie będziemy mieli ani owoców, ani jagód. Nie możemy przecież wyrzec się ogrodu i owoców dla sarenek, które zresztą i tak w lecie uciekną do lasu, gdyż potrzebują większej swobody. To też lepiej będzie, gdy sami zaprowadzimy je do naszego lasu, gdzie one przyzwyczają się i osiedlą. Na zimę możecie je znowu zabrać do waszej stajenki.”

Cóż było robić? Musiały dzieci rozstać się z sarenkami. Tegoż dnia popołudniu zorganizowano całą wyprawę do lasu. Rodzice szli na przedzie, a dzieci prowadziły swoje pupilki. Witek trzymał za szyję Ęmira, a Julek—Ażę, Hania poklepywała to jedno, to drugie. Gdy pochód zbliżył się do lasu, sarny przyspieszyły kroku tak, że dzieci zaledwie nadążały za nimi. Znalazłszy się w lesie, sarenki wydały krótki bek i cwałem pomknęły w głąb leśny, nie oglądając się za siebie, — tylko racie ich zadudniły zdaleka. Nie pomogły wołania dzieci:

„Emirku! Azo!”

Sarny przepadły w lesie. Lzy stały w oczach dzieci.

„Jakież one niewdzięczne!” — wykrzyknął w rozpacz Witek.

„O nie, moje dzieci, każde stworzenie ceni swobodę, tem bardziej zwierz leśny. Wasza stajenka była dla nich ciasną klatką, teraz cieszą się one przestrzenią i naturą. Zapewne nieraz spotkacie się z nimi w lesie i zobaczycie, że na swobodzie poprawią się bardzo. Ale powinniście i nadal interesować się ich dołą: może im czasem pożywienia zbraknie...”

„Tatusiu kochany, każ postawić żłób w lesie dla sarenek, będziemy je dokarmiali, jak pan Sulkowski w swojej puszczy,” — prosił Witek, a Julek i Hania również dołączyli swoje prośby. Pan Wólczański zgodził się, choć dobrze wiedział, że wiosną i latem sarny doskonale dadzą sobie radę.

Odtąd dzieci były częstymi gośćmi w lesie. Aż razu pewnego, gdy, głośno śpiewając, zbierały jagody w porębie leśnej, z gęstwiny wybiegła nasza para sarenek, przystanęła, a poznawszy dzieci, podbiegła do nich, nachylając swe pyszczki do kieszonki Hani. Ruch ten był tak wymowny i świadczył nietylko o pamięci sarenek, ale i o tem, że biedactwa stęskniły się za słodyczami, jak również i za pieścizotami dzieci.

„Emirku! Azuniu! kochanel!” — prawily im słodko dzieci, przytulając się do nich i głaszcząc je pieścizotliwie po szyi i karczku.

Hania była niezmiernie zadowolona, że mogła swych ulubieńców poczęstować cukrem. A sarenki, schrupawszy ze smakiem cukier, pobiegły znowu w głąb lasu. Takie spotkania dzieci z sarenkami powtarzały się kilkakrotnie w ciągu lata, i dzieci marzyły tylko o jesieni, kiedy znów będą miały u siebie te mile, kochane stworzonka.

K O N I E C.

Wielki Związek Łowicki
BIBLIOTEKA
Nr. _____



BIBLIOTEKA

Państwowej Biblioteki Uniwersyteckiej

Nr 641

